TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Vol. 4 Nr. 10 (167) Nowy Jork, 10 marca — New York, 21, N. Y., March 10, 1946 Cena 20 ct.



CHEŁMŻA NA POMORZU

JANUSZ LASKOWSKI

K A T Y Ń

(KORESPONDENCJA WŁASNA "TYGODNIKA POLSKIEGO" NA PRAWACH WYŁĄCZNOŚCI)

Norymberga, 15 lutego 1946 r.

"Przed trybunałem przewiną się dziesiątki tysięcy świadków. Wezwano ich do sądu właśnie w tej sprawie. Nie zdołam wymienić ich nazwisk, ani trybunał nie zdoła ich zaprzysiąc. Ale ich zeznaniom nie można nie dać wiary, albowiem zmarli nie kłamią nigdy".

Jeszcze kilka zdań i oskarżyciel sowiecki płk. Pokrowskij zakończy swoje oskarżenie zbrodniarzy hitlerowskich o zbrodnie, dokonane na jeńcach wojennych sowieckich, jugosłowiańskich, czeskich i polskich.

Rzućmy okiem na te dokumenty wieczystej hańby, jakimi okryło się wojsko niemieckie.

Słyszałeś, mój czytelniku amerykański, nazwisko marszałka Reichenau! Słyszałeś je napewno, łączone zawsze z tradycjami wojskowemi Niemiec, powołujących się na "rycerskość" rzemiosła wojennego. Posłuchaj rozkazu tego wysokiego wojskowego, — rozkazu o zachowaniu się żołnierzy niemieckich na Wschodzie. Żołnierzom tym wolno było wszystko: wolno było mordować, łupić, palić, kraść. "Zaopatrzenie w żywność ludności cywilnej i jeńców wojennych jest zbędnym humanitaryzmem". Innemi słowy oznacza to: niech jeńcy wojenni umierają z głodu.

I umierali!

Na niższym szczeblu, bo szczeblu dywizji, rozkazy szły jeszcze dalej. Oto wyjątek z rozkazu do żołnierzy 60-tej niemieckiej dywizji piechoty: "Żołnierze rosyjscy są bardzo odważni w boju. Nawet odosobniony, niewielki oddział zawsze przyjmuje walkę. W związku z tem nie wolno dopuszczać do humanitarnego traktowania jeńców".

Na szczeblu zaś najniższym spotkamy zwykłe morderstwo. Kapral wojsk niemieckich Lecourt (przypadkowo noszący francuskie nazwisko) zeznaje, że "dla własnej przyjemności rozstrzeliwał jeńców wojennych sowieckich". Rozstrzeliwał masowo. Poprostu przyjeżdżał do sąsiedniego obozu jenieckiego i strzelał. "A potem wyjeżdżałem do miejsca postoju mojej jednostki" — zeznaje.

Szef sztabu niemieckich wojsk lądowych gen. Haller opowiedział w śledztwie o swojej rozmowie z Hitlerem, wkładając w usta Hitlera zdanie: "...ponieważ Rosjanie nie wzięli udziału w Konwencji Haskiej, — traktowanie ich jeńców wojennych nie powinno stosować się do postanowień Konwencji Haskiej".

Prokurator Pokrowskij dodał od siebie: "Jest rzeczą powszechnie znaną, że Związek Sowiecki przyjął na siebie zobowiązania, wynikające z Konwencji Hoskiej".

Wątpię, czy ktokolwiek poza mną odbiegał myślą poza salę sądu norymberskiego wówczas, gdy płk. Pokrowskij mówił o zbrodniach, dokonanych przez Niemców na polskich, czeskich, jugosłowiańskich i sowieckich jeńcach wojennych.

Mnie zaś marzył się las, — las mojego dzieciństwa. Mnie zaś marzyło się wzgórze, łagodnie opadające ku Dnieprowi. I marzył się śpiew ptaków, które ten las i zbocze ukochały.

Przypomnij sobie, mój bracie, który z wyżyn katedry uniwersyteckiej w Milwaukee patrzysz na okrwawiony świat, — przypomnij sobie dzieciństwo. I Gniozdowo, dokąd jeździliśmy tylekroć najpierw poto, by ganiać po Czarnym i Czerwonym Borze zapuszczając się ku Dnieprowi i ku wzgórzu, pełnemu sterczących pni, z których podpatrywałeś swoje ukochane ptaki.

Pamiętasz ten zakręt wśród lasu?

Skręcaliśmy zwykle na prawo. Na lewo zaś droga prowadziła ku wzgórzu, które łagodnie opadało ku Dnieprowi, ku wzgórzu Czerwonego Boru, ku wzgórzu wspinającemu się do stacyjki, otulonej dziś całunem straszliwej śmierci, gdy dla nas łączyło się ono ze śmiechem, radością i szczęściem. Stacyjka nazywa się KATYŃ.

Na 97ej stronie swojej 112to stronicowej mowy płk. Pokrowskij przeszedł do zbrodni katyńskiej.

Nie przedstawił rozkazów niemieckich, nie przedstawił projektów instrukcyj, nie przedstawił świadectwa samych zbrodniarzy.

I to była słaba strona oskarżenia.

Sowiecka komisja dla badania zbrodni wojennych włączyła w swój skład dodatkowych członków specjalnie dla tej sprawy. Członkowie ci, — to najwybitniejsi przedstawiciele literatury, sztuki, nauki i sądownictwa sowieckiego.

A jednak...

Brakowało tej sowieckiej komisji czynnika międzynarodowego, którego mieliśmy prawo oczekiwać, zważywszy, iż sprawa Katynia na niemal trzy lata przed przewodem w Norymberdze wyszła z lasku na Koźlem Wzgórzu na forum międzynarodowe, powodując niezwykłe i niespotykane w dziejach międzynarodowe wypadki. Bo czy zna ktoś przykład zerwania stosunków dyplomatycznych pomiędzy dwoma krajami sojuszniczymi, prowadzącymi w tym samym czasie wojnę przeciwko wspólnemu wrogowi?

Takich przykładów nie było w historji. Nie było do kwietnia 1943-go roku kiedy Związek Sowiecki zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim, na którego czele stał w owym czasie gen. Władysław Sikorski. Powodem zerwania stosunków dyplomatycznych była właśnie sprawa katyńska.

Jeżeli więc sprawa ta aż tak wielkie spowodowała konsekwencje w stosunkach między narodami zjednoczonymi, spodziewać się można było, że Związek Sowiecki, opanowawszy z powrotem tereny katyńskiego cmentarzyska, zaprosi do komisji, utworzonej specjalnie dla odsłonięcia tajemnicy Koźlego Wzgórza, przedstawicieli nietylko sowieckiej sztuki, nauki i sądownictwa, ale również przedstawiceli zagranicy, udostępniając im zapoznanie się z okolicznościami nikczemnego mordu.

Tak się nie stało. I ten fakt osłabia oskarżenie płk. Pokrowskiego o zbrodnie dokonane przez Niemców na jeńcach wojennych.

Osłabia tembardziej, że raport sowieckiej komisji stwierdził: "Polacy jeńcy wojenni, przebywający w trzech obozach na zachód od Smoleńska i pracujący na robotach drogowych (w angielskim tekście: "przy budowie linji kolejowej") przed wybuchem wojny, pozostawali tam również i po wkroczeniu niemieckich okupantów do Smoleńska do września 1941 r. włącznie". (Cytuję oryginał rosyjski. — Przyp. J. L.).

Płk. Pokrowskij nie powiedział Trybunałowi Międzynarodowemu, że to byli o f i c e r o w i e. Według zaś Konwencji Genewskiej, będącej rozszerzeniem postanowień Konwencji Haskiej z roku 1907-go, oficerów-jeńców wojennych, nie wolno używać do robót, jeżeli wykraczają one poza prace niezbędne dla dobra obozu.

Dlaczego płk. Pokrowskij przemilczał fakt, iż zamordowano oficerów?

Dlaczego mówiąc o zbrodni t. zw. "katyńskiej" mówił jedynie: "Polacy, jeńcy wojenni", lub "polscy jeńcy wojenni" lub w jednym wypadku "odbywający służbę wojenną Polacy?"

To bardzo poważnie osłabiło siłę dowodową oskarżenia w sprawie katyńskiej. Tem poważniej, że wyka-

zało niezbicie na przykładzie polskich oficerów, iż Związek Sowiecki pomimo noty ludowego komisarza dla spraw zagranicznych p. Mołotowa że "będzie w dalszym ciągu wypełniał zobowiązania, przyjęte przez Związek Sowiecki w dziedzinie traktowania jeńców wojennych zgodnie z Konwencją Haską z roku 1907-go"... — postanowienia Konwencji naruszył przez zatrudnienie oficerów przy robotach, wykraczających poza roboty dla dobra obozu.

Czy płk. Pokrowskij nie przywiązuje wagi do rangi jeńców wojennych? Z innego ustępu tego samego przemówienia oskarżycielskiego okazuje się, że przywiązuje. Cytując barbarzyńskie zarządzenie niemieckie, pozostawiające decyzję co do życia i śmierci sowieckich jeńców wojennych w ręku oficera niemieckiego, płk. Pokrowskij powiedział: "W ten sposób pierwszy lepszy młodszy oficer otrzymywał prawo życia i śmierci wobec bojownika Czerwonej Armji, wziętego do niewoli, niezależnie od jego funkcji (służebnoje położenije) i rangi".

Dlaczego więc płk. Pokrowskij przemilczał fakt, iż zostali zamordowani i spoczywają w grobach — olbrzymach lasku katyńskiego o f i c e r o w i e ?

Według oświadczenia sowieckiej komisji dla zbadania okoliczności zbrodni katyńskiej, Niemcy zwozili ciała oficerów polskich z innych miejsc, aby je powtórnie pochować w Katyniu. W ten sposób Koźle Wzgórze kryje w sobie 15,000 zwłok nikczemnie zamordowanych o f i c e r ó w polskich, jeńców wojennych.

I nie znalazł się żaden z niemieckich morderców, któryby złożył świadectwo wyjaśniające. Nie znalazł się żaden z udziałowców mordu, dokonanego na 15,000 ludzi. Nie znalazł się również żaden, któryby brał udział w przewożeniu, lub ekshumacji zwłok 15-tu tysięcy oficerów polskich spoczywających w lesie mojego dzieciństwa.

Równocześnie jednak płk. Pokrowskij starannie przytacza zeznania niemieckich świadków i niemieckie dokumenty, uważając — słusznie — że muszą one być równoznaczne z przyznaniem się do winy, albowiem pochodzą od zbrodniarzy, a nie od ofiar.

"Rozpocząłem przedstawiać trybunałowi materjały niemieckiego pochodzenia mając w tem skreślony cel. Po zaznajomieniu się ze stanowiskiem samych hitlerowców wobec sowieckich jeńców wojennych oraz po zapoznaniu się — chociażby tylko pobieżnem — czem w opinji samych hitlerowców były obozy dla sowieckich jeńców wojennych, trybunałowi łatwiej będzie ocenić moc dowodową materjałów pochodzenia nie niemieckiego" — mówił płk. Pokrowskij.

Na tle dowodów i świadectw zbrodniarzy o własnych zbrodniach, sprawa katyńska osłabia całość oskarżenia sowieckiego o zbrodnie dokonywane na jeńcach wojennych, albowiem pomimo międzynarodowego znaczenia tej zbrodni, stwierdzenie przez komisję sowiecką niezastosowania wobec oficerów polskich, jeńców wojennych przebywających w trzech obozach na zachód od Smoleńska przepisów Konwencji Haskiej, — oskarżeniu brakowało innych, niż sowieckie dowodów, co ujmując sprawę prawniczo, nie może być uznane za dowód, ponieważ złożone świadectwo jest świadectwem strony, która dopuściła się naruszenia prawa międzynarodowego.

Brakowało świadków niemieckich, którzy — czy kto chce, czy nie chce, — istnieć muszą, ponieważ chodzi tu o morderstwo nie na dwu osobach dokonane, ale na 15-tu tysiącach oficerów, których ciała ponadto ekshumowano i przewożono dla złożenia w lasku na Koźlem Wzgórzu. Tego wszystkiego nie mógł wykonać jeden człowiek. I dlatego brak świadków tych wszystkich zbrodniczych aktów nie wytrzymuje nawet najłagodniejszej krytyki.

Stwierdzając, że przesłuchano w tej sprawie ponad 100 osób, sowiecka komisja nie przytoczyła ani jednego nazwiska, chociaż oskarżyciel sowiecki starannie przytacza nazwiska nawet najdrobniejszych świadków w innych sprawach. W tych, w których chodzi o mordowanie sowieckich jeńców wojennych.

Istnieją więc w sprawie katyńskiej tylko ci świadkowie, których dziesiątki tysięcy powołał płk. Pokrowskij przed oblicze Międzynarodowej Sprawiedliwości. I "nie można nie dać wiary ich zeznaniom, albowiem zmarli nie kłamią nigdy". Niestety, zeznania swoje złożyć mogą oni tylko — Bogu.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

KRZYŻE I MIECZE

Krzyże i miecze — los wybrany
I przewalczone nasza lata
I nasza krew i nasze rany,
Polski cyrograf zapisany
Na wszystkiej ziemi tego świata.

Sława i krzywda, cierpkie plony,
Z którymi siadasz dziś przed progiem
I próżno patrzysz w wszystkie strony,
Tułaczu nisko pochylony
Przed swym ostatnim sędzią, Bogiem.

I niecofnięta nasza próba
Jak wyjść nad klęskę i bezdroże
I unieść w ręku broń cheruba,
Uderzać nią gdzie zło i zguba,
Co nigdy zgubić nas nie może.

Jak nad rzucany grad kamieni
Przez ślepą dłoń i sprzeniewiercę
Odkrzyknąć, żeśmy niezmożeni,
Ze się nie ugnie i nie zmieni
Pęknięte w piersi naszej serce.

Jak wyjść nad rozpacz, wszystkie rany,
Nad ziemski czas i ruch zegara
I czytać z wieków los wybrany,
Polski cyrograf niepisany,
Ze śmierć nie wieczna. Wieczna — wiara.

Pod tytułem "Krzyże i miecze" ukaże się w najbliższych dniach nowy tom wierszy Kazimierza Wierzyńskiego, ósma książka poety wydana od rozpoczęcia wojny.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
157 East 64th Street
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

Urodziny

Ignacemu Matuszewskiemu

Siódmy września 43 w Warszawie.

Jest ranek, za kwadrans dziewiąta. Córka Elżbiety wyszło przed chwilą na wykład. Elżbieta skończyła sprzątanie pokoju i zamierza się myć, ale sposób mycia jest tak niewygodny, że przedtem należy odpocząć. Siada w głębokim, błękitnym fotelu, w puchowem gnieździe z dawnych, dobrych lat, zapala papierosa i patrzy na swoje dzieło. Istotnie, posadzka jak lustro, szyby lśnią pod tjulem firanek, zeszpeconych tylko rulonami czarnego papieru, zwiniętymi jak można najwyżej. Tych kilka pięknych mahoni i jesionów, ocalałych po wrześniu 39 wygląda jednak ładnie, chociaż pokój jest sypialnią, stołowym, spiżarnią i łazienką. Woreczek cukru za jednym fotelem, woreczek kaszy za drugim, kawał boczku na gwoździu za kredensem, baniak z naftą za szafą, słoik powideł narazie w piecu, bo jeszcze się nie pali, zapas drzewa za piecem. Ale wszystko szczęśliwie ukryte. Są dwa tapczany, stół, dużo książek, kwiaty. Tylko umywalnia, psiakrew, za sekreterą! Za muzealną, empirową sekreterą ze złotej gruszy i czeczoty, strojnej w napoleońskie orły z bronzu, w wianeczki i galeryjkę. Antyczne cacko stoi figlarnie bokiem, a za nim niewidzialne oczom gości — kulisy życia: miska na taburecie, wiadro pod koronkową serwetą, szczotka, śmietniczka, dwa pudełka z pastą: do butów, do podłogi i — to trzecie. W tem trzeciem, większem — dwie cenne bransolety po matce, wtopione zręcznie w pastę. Nie jedyne to kulisy. W rogu kredensu słoiczek ze smalcem. W nim to właśnie, na dnie, złota moneta na czarną godzinę. Dziesięć dolarów — dziesięć lat więzienia. W apteczce, w proszkach salolu, jeden opłatek cięższy: to pamiątkowy pierścionek. Są też inne kulisy, wszystko jak u ludzi: w wydrążonym wałku od ciasta — ostatni czwartkowy "Biuletyn". A w kącie pod szafą — cóż za obrzydliwość w tym ładzie, czystości i lśnieniu — brudna ścierka, bardzo brudna. Nie ruszać tej ścierki! Boże, daj żeby nigdy nie ruszyli tej ścierki! Ale Niemcy lubią czystość, może się będą brzydzili. "Polnische Wirtschaft". Tak. Inaczej — śmierć. Wszystko jak u ludzi.

Wysoko, wysoko podniesiona roleta jednego z trzech ogromnych okien. Okna na Pole Mokotowskie — słońce — słońce — zielono — zielono — dawniej wyścigi i lotnisko, teraz działki warzywne, działki, działki do horyzontu. Wrzesień, słoneczniki, nagietki, wieczorami maciejka pachnie jak na wsi. Elżbieta i Ewa, matka i córka, kochają ten widok. Wprost od okna, tylko za jezdnią biegnie wśród działek oszczędna, wąziutka ścieżyna, daleka jak myśl, prosta jak tęsknota. Chwyta oczy, ile razy podejść do okna. Aż ku Alei Niepodległości. W przyszłość. Codzienna turystyka oczu.

Wysoko podniesiona roleta. Czy aby nigdy nie spuszczą? Czy nigdy nie znajdą? Chryste, bo gdyby! W rąbku rolety misterny rulonik cieniuchnej bibułki, a za nim pseudonimy, numery, daty, wyszkolenie, przydziały. Jedenaście pozycji, jak kazano. W jednym rąbku ewidencja całego oddziału Ewy, w drugim — Elżbiety. Nazwisk niema, ale cóż to pomoże? Biją mocno.

— Czy potrafię nie wydać? — myśli Elżbieta. — A córka? — Fala miłości i rozpaczy chwyta za gardło wilczą łapą, jak codzień, jak co chwila, jak co chwila, kiedy myśli o Ewie. Szafirowe oczy, przepyszne brwi, brązowe loki, maleńkie jaskrawe usta, nigdy nie tknięte szminką. Mocne ciało, rosłe, opalone, sportowe. Bić?! Jezu!

— "No, matka, nie histeryzuj, śmiej się z tego. Nie masz pojęcia jakie te szkopy głupie. Mówią ci". — Elżbieta słyszy to codzień. A potem: — No, Mamusssia... Mamussieńka.... Ciiicho... Cicho. — I puszysty łeb ociera się o ramię. — Ukręć mi lepiej żółtko z cukrem. Ukręcisz? — "Ukręcę."—

Ale cóż z tego? Elżbieta wie, że dziecko kiedyś całą noc czytało przy świeczce "Kamienie na szaniec" i że wszystko zaczęło się właśnie od tej książki. Sama jej dała: teraz ma. Dziewczyna znika o niebywałych porach. Coś nosi, coś chowa.

— "Co ty robisz, Kocie?" —

— "Właśnie że nic nie robię".

— "Ty nic nie robisz? Nie szkolisz swoich dziewcząt? Nie zbierasz opatrunków na Powstanie?—"

— "To klajster. Powinnam iść do sanitarjatu dywersji. I pójdę." —

Papieros się wypalił, Elżbieta nie zauważyła. Jest cała spocona. Czyżby się tak zmęczyła sprzątaniem? No, trzeba się myć. Nalewa wody do miski za sekreterą. Myśli się gonią; trzeba pójść do meliny, zabrać biało-czerwone opaski i przenieść do składu broni. Córce nie trzeba mówić bo ofiaruje swoje towarzystwo... Potem trzeba kupić ciastek, bo to przecież dziś Ewy urodziny... A o piątej tutaj będzie przysięga... Zaraz, ileż osób przyjdzie na przysięgę?... Trzynaście. A ile może przyjść gości wieczorem? Szwagier Tadeusz, jego żona, siostra i dwoje dorosłych dzieci. Sama rodzina, bo obca młodzież proszona na niedzielę. Trzeba kupić siedem ciastek. A może dziesięć?... No, pozwólmy sobie raz na dziesięć... Zimna to woda...

Ba — bach! Zadrżały szyby. Wściekły huk. Bomba, czy ki djabeł? Nie było alarmu. Ręcznik, suknia — prędzej! A córka na wykładzie! Nawet niewiadomo gdzie. Nie, jeszcze na ulicy, dopiero wyszła.

Elżbieta wychyla się oknem. Przez Polną biegnie tłum. Pewnie coś się stało na Placu Unji. Strzały. Krzyki. Tumult.

— Proszę pani! Jakieś nieszczęście. A gdzie nasza panienka? — to służąca gospodarzy wpadła do pokoju i razem z Elżbietą wisi w oknie. Przepada za małą.

— Nie wiem. Na wykładzie. Nic nie wiem, Tolciu kochanie... — Minuty za minutami. Wreszcie trzykrotne znajome stukanie do frontowych drzwi. Puk, puk, puk. Jest! Gosposia się uspakaja i idzie do kuchni.

— Wróciłaś! Chwała Bogu! Co tam się stało?

— Nic. Jakiś zamach. Nie można przejść przez Marszałkowską. Tramwaj się pali na rogu Litewskiej. Heca.

— Odpocznij.

— Chyba że tak. Histologja przepadła. Cho...lender! Jak się zaczęło na moje urodziny to już będzie cały rok.

(Miała rację. Tak było. Było gorzej. A potem — jeszcze gorzej.)

— Patrz! — woła Elżbieta od okna. Ewa podbiega.

Ulica już pusta, tylko środkiem jezdni dwóch Niemców prowadzi Polaka. Oni w mundurach, rewolwery do strzału, on — młodziutki i pobladły — w jasnej kurtce i białej czapeczce. Najwyraźniej prowadzą w stronę Alei Szucha, do Gestapo. Nasz! Złapali. Będą bić, zabiją. Taki sam on czyjść, jak ta tutaj — moja. Elżbieta instynktownie chwyta rękę Ewy.

— Puść! — buntuje się młodość. Żąda prawa do własnej śmierci.

Ewa chodzi po pokoju jak zwierz w klatce. Piękny, duży, brązowy zwierz leśny o szafirowych oczach. Urodziny! A tamta matka jeszcze nie wie...

Czego w Niemcach najbardziej nienawidzono — tam — wtedy — w Warszawie? Czerwonych, pofałdowanych karków. Aż ręka tęskniła do cyngla, a choćby do noża. Taki właśnie kark ma ten Niemiec który pod oknem prowadzi za łokieć bladego chłopca. Pierwsze piętro, dobrze widać. Kobiety długo stały w oknie.

Potem nie było nic, na ulicy uspokoiło się zupełnie. O jedenastej Ewa wyszła do szpitala, gdzie studenci tajnej medycyny mieli pokaz na internie, a Elżbieta po te ciastka urodzinowe i do swojej meliny. Z Placu Unji skręciła na Puławską i w ulicę Narbutta, gdzie w małym sklepiku sprzedawano najtańsze słodycze. Po drodze już się dowiedziała co zaszło. Na rogu Marszałkowskiej i Litewskiej był zamach na grubego Gestapowca, komendanta Pawiaka. Młody "żebrak" i grajek wyjął broń z pudełka od skrzypiec. Gestapowiec szedł sobie idylicznie z "rodzinką" na spacer. Padł. Ale wyskoczyli Niemcy z "Dziewiętnastki". Osłona zamachowca rzuciła granaty na niemiecki przedział tramwaju. Było trochę rannych. Grajek uciekł. Ale czemu prowadzili tego bladego chłopca z innej strony Polnej, od Politechniki? Jakaś druga sprawa, czy omyłka?

Elżbieta idzie w głąb ulicy Narbutta. Paczka z ciastkami dynda jej na palcu. Pomimo wszystko — polska jesień — niema rady — słońce! I jesiony są złote. Wszystko, czyżby naprawdę? Elżbieta kocha życie.

Co to? Skąd Tadek na ulicy o tej porze?

— Tadek? A ty tu skąd? Dlaczego nie w biurze?

To szwagier. Ale jak on wygląda? Twarz szara, wzrok dziki, suknia plugawa.

— Co się stało, Tadek?

— Przyszli po mnie do biura. Uciekłem przez kotłownię, telefonistka z dołu szepnęła mi w słuchawkę: "uciekać!"

Elżbieta odrazu sztywnieje rzeczowo.

— Idź zaraz do mojego mieszkania, bo twoje już napewno obstawione. —

— Dzieci! Lusia...

— Nie poradzisz. Może Bóg da. Idź, nie sterczą na ulicy.

— Słuchaj — powiada Tadeusz. — O dwunastej przyjdzie do biura moja siostra z bibułą, jak codzień i wpadnie prosto Niemcom w łapy. Ty musisz ją zawrócić.

Elżbieta patrzy na zegarek. Dwunasta za dziesięć.

— Już idę — mówi. — Bądź spokojny. Potem obie przyjdziemy na Polną, czekaj tam.

— Ale czy mnie wpuszczą do twego pokoju?

— Ja uprzedzę gospodarzy. Dowidzenia.

Więc Elżbieta do meliny już nie skręca, tylko z pierwszego sklepu telefonuje do domu; "Państwo będą łaskawi pozwolić poczekać w moim pokoju temu panu, który przyjdzie za chwilę. To nie włóczęga, chociaż obdarty, to kuzyn, a nawet inżynier, doktór, profesor." (Trzeba mówić wesoło, żeby w domu nie zmiarkowali. Przyzwoici ludzie, ale strachajły.)

Teraz prędko przed biuro Tadeusza. Tam ostatni przystanek Dziewiątki. — Pętla. Elżbieta niby czeka na tramwaj. A jeśli się rozminę z Marją? Wreszcie z następnej Dziewiątki wysiada gruba, starsza pani z gospodarskim koszykiem; z którego sterczą marchewki i kapusta. Dobra gospodyni. Wszystko jak u ludzi.

— Wsiadaj z powrotem — mruczy cicho Elżbieta, przechodząc koło niej. — Jedź do mnie i nie znaj mnie. Tadeusz już na Polnej.

Zdziwione spojrzenie, ale ani słowa. Marja zawróciła, wsiadła, pojechała. Po chwili jedzie Elżbieta.

I tak zaczęli się schodzić urodzinowi goście.

Tadeusz otworzył drzwi. — Nie mogłem się ciebie doczekać, Elżbieta! Na litość boską, przenieś telefon od gospodyni do przedpokoju, będę próbował dzwonić do moich sąsiadów, przecież nic nie wiem o rodzinie.

Dzwoni. Elżbieta i Marja słyszą jak pyta w słuchawkę: "Już byli? Aha. Wzięli syna? Wzięli... Żonę zostawili? Aha".

Wraca do pokoju. Twarz ma ziemistą.

— Chłopak jest skończony — mówi.

Potem siada. Siedzi Elżbieta. Siedzi Marja. I nic. Bo cóż? Jak u ludzi.

A gdzie żona Tadeusza? Jak ją sprowadzić? Pod jej dom nie można podejść. Jeśli pójdzie do biura męża, wpadnie. A może będzie mądra i ucieknie do Elżbiety? Nagle wszystkim jednocześnie przychodzi do głowy:

Maryśka! Maryśka, córka Tadeuszów, wróci z pracy do domu, bo o niczem nie wie. Więc Elżbieta telefonuje z korytarza:

— Marysiu — mówi spokojnie — przyjdź do mnie na obiad.

— Ależ ciociu — odpowiada głosik — dziękuję, nie mogę, wszyscy wybieramy się do was wieczorem z życzeniami. Teraz muszę iść do domu.

— Marysiu — akcentuje Elżbieta dobitnie. — Słuchaj uważnie: Przyjdź do mnie na-tych-miast-na-obiad. Nie-do-domu.

— Jezus Marja! — Słychać nieostrożny krzyk Maryśki. — Już idę!

Elżbieta wraca do pokoju. Tadeusz wkłada palto.

— Ty dokąd?

— Do Gestapo. Niech mnie wezmą, a chłopca oddadzą.

— Idjota! Ciebie wezmą, chłopca nie oddadzą. Masz żonę i córkę. Siedź.

— Pójdę!

— Poczekaj, ktoś stuka, może twoja żona.

Istotnie, żona, przyjaciółka Elżbiety od dziecka. Uśmiecha się, wchodząc. U-ś-m-i-e-ch-a. Twarz z gipsu. Usta z gumy. Rozciętą gumę rozciąga, rozciąga...

— Muszę być przynajmniej równie dzielna, jak mój syn — oświadcza, siadając.

Potem trochę opowiada. Chłopca wzięli w bieliźnie, prosto z łazienki. Robili rewizję, nie znaleźli nic. Pytali o ojca, owszem, wspominali nawet że byli w biurze, ale go nie zastali. Dlatego tam nie poszła. Obiecali wrócić.

— Prosiłam: weźcie i mnie, ale nie chcieli.

— Maryśka zaraz tu przyjdzie — odzywa się Elżbieta po chwili.

— Dziękuję.

Za pół godziny wpada Maryśka. Nigdy nie słyszeli takiego płaczu; dopiero mieli usłyszeć w rok później. Wycie, zduszone, żeby nie spłoszyć obcych za ścianą. Chciała również biec do Gestapo na wymianę. Szalała. Musieli ją trzymać siłą.

Na to wszystko wchodzi Ewa. Co to? Urodzinowie goście. tak wcześnie? Ale co za twarze? I nikt nie składa życzeń...

Ewa inaczej zareagowała na wiadomość, niż jej kuzynka. Zakrzątnęła się jak przyszły chirurg. Radzić! Przedewszystkiem sprawdzić dokąd chłopca zawieźli: na Pawiak czy na Szucha? Potem posłać odzież. Potem spróbować nadać gryps...

— Urodzaj na mądre dzieci — uśmiecha się ciepło Tadeusz...

— Ale co będzie z wami, Tadkowie? — myśli głośno Marja. — Nie macie już domu, ani rzeczy. Zamieszkacie u mnie na Filtrowej.

— Tylko nie wszyscy kupą, ciociu, bo to niebezpieczne, stryjek zostanie u nas — decyduje Ewa. — Będzie spał na fotelach. Tylko dziś będzie łaskaw wyjść stąd na godzinkę, od piątej do szóstej. Pospaceruje sobie po działkach.

Elżbieta podała obiad, to znaczy krupnik. Gmerali łyżkami w talerzach, jedni na cześć drugich. Potem wystawiła nareszcie te urodzinowe ciastka. Okna były otwarte. Nie rozmawiał nikt.

Nagle Tadeusz pyta niespokojnie:
— Czy tu przed domem często stają samochody?

— Dlaczego pytasz?

— Bo właśnie jeden stanął.

Oho, to źle. Wszyscy wychylają się ostrożnie przez okno: duży otwarty samochód niemiecki stoi przed domem. Trzech gestapowców z karabinami do strzału idzie wprost w bramę.

— Po mnie — szepcze Tadeusz. — Trafili po nitce do kłębka, wezmą was wszystkich. Przebaczcie.

Zostały sekundy. Roleta! Ścierka! Gdzie chować? Jak chować? Zapóźno. Ewa chwyta ścierkę z pod szafy wraz z zawartością i pędzi do kuchni. Tam skrzynia z węglem, kubeł ze śmieciami — szansa ratunku.

Stukanie do drzwi. Ale dość ciche, jakieś nie niemieckie. Wszyscy stoją nieruchomo, jakby czekali na egzekucję. Elżbieta ołowianemi nogami podchodzi do drzwi. Już niema co, już nic nie warto, koniec.

Otwiera. W drzwiach śliczna buzia i uśmiech: panna Marta, rejonowa z A. K.! Przychodzi uzgodnić godzinę dzisiejszej przysięgi, wiedząc, że w obiadowej porze obie panie są w domu.

— Uciekać, Gestapo! — szepcze Elżbieta. Wie, że Marta zawsze chodzi opakowana bibułą.

Gość śmignął schodami w górę.

Elżbieta zamyka drzwi. Wraca do pokoju. Siada. Czekają. Nie przychodzi nikt.

— Proszę pani! — wsuwa się gosposia przez drzwi. — Widziała pani? Szkopy poszli do oficyny, do mieszkania tego młodego Michalskiego, co go to prowadzili rano pod oknami, w białej czapinie, widziałam z balkonu. Już go nie wypuszczą z łapów, jak przyszli szukać w rzeczach. A jego matka na letniakach! On tu akuratnie mieszka w drugiej bramie kole nas, biedaczysko.

Tak skończył się obiad urodzinowy. Koło godziny czwartej wyszli goście, bezdomni i osieroceni. Tadeusz wróci wieczorem i zanocuje na fotelach.

A o piątej zebrało się trzynaście kobiet — znów urodziny posłużyły za pretekst wobec gospodarzy. Na otwartej sekreterze, która od tyłu kryła umywalkę, spoczął hebanowy krzyż, oprawny w srebro, pamiątka po przyjacielu, zabitym we wrześniu 39. Równy szereg kobiet stanął na baczność, każda po kolei zbliżała się do sekretery i powtarzała za Komendantką:

— "W obliczu Boga Najwyższego i Najświętszej Marji Panny, kładę rękę swą na ten święty krzyż i przysięgam wierność Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej. Przysięgam stać na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli — walczyć"...

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

BRATERSTWO

Nie widziałam Cię nigdy za życia,
kiedy kroki twe więził Belweder,
ale wzrok Twój pochmurny mnie widział
z wiszącego na ścianie portretu.

Szły o Tobie słowa pełne mocy,
i szły inne słowa — były ciemne,
ale szlak Twój żołnierski się złocił
i zapadał słońcem wolnym we mnie.

Nie widziałam Cię nigdy za życia,
tylko sztandar Cię z trumny odsłonił;
maj był smutkiem pochmurny i wtedy
śnieg się mieszał z kwiatami jabłoni.

I odszedłeś. Płakały miliony.
To za mało za to coś uczynił.
Teraz wiem; jak trudno wykonać
a jak łatwo, najłatwiej jest winić.

Gdy w sierpniowy dzień wolność krótka
przyszła do nas wśród grozy i cierpień —
pamiętałam: Tyś po nią wyruszał
przed latami w ten sam jasny sierpień.

Gdy wolności tej szalony alarm
przez płonące ulice szedł z nami —
ten sam mundur połączył nas szary
i byliśmy, jak Ty, żołnierzami.

Teraz — kiedy stygmaty twej wiary,
jak pochodnie wśród dni naszych biegą —
to nie będzie bluźnierstwem — żołnierzu,
że się nazwę dziś — Twoim kolegą.

Oberlangen, Westfalja, Stalag VI.C.

MIECZYSŁAW KRUK-ROSTAŃSKI

PRAWDA JAKBY NIEPRAWDZIWA

W pracy tej, która jest małym fragmentem przygotowanego do druku, potrzebnego naszemu społeczeństwu sprawozdania z obozu koncentracyjnego w Gross Rosen, pragnę oddać hołd pamięci niezapomnianego Jana Rostworowskiego, byłego korespondenta Kurjera Warszawskiego w Rzymie, uczestnika walk w Narviku a potem żołnierza zrzuconego spadochronem do pracy w Polsce okupowanej.

Spotkaliśmy się w Gross Rosen. Podczas badania mnie w radomskiem słynnem Gestapo kierowanem przez krwawego Haupsturmfuehrera Fuchsa, bił mnie wychowany w Polsce (zdaje się w Łodzi) agent Benko, nakłaniając mnie bym się przyznał czy jestem szefem okręgu radomskiego pułkownikiem Michałowskim, czy Wadzickim, czy Rostańskim, czy Krukiem, czy wreszcie poszukiwanym spadochroniarzem Rostworowskim.

Nie przypuszczałem wtedy, że danem mi będzie dzielić z Jasiem twardy los obozu śmierci, w którym prochy jego rozniósł wicher sudecki ze wzgórza z pod krematorjum, po wspaniałej dolinie przeznaczonej na grób tysięcy... tysięcy... Część batów i zbita pałkami głowa spadła na moje plecy i może dobrze tak — może los chciał, bym mógł to opisać, co z Gross Rosen niewielu wyniesie i odda ludzkości na wieczne ostrzeżenie przed hitlerowskim cieniem.

O Gross Rosen do tej pory mówi się mało — dlaczego?

Niewielu stamtąd ludzi pióra powróciło. Ci, którzy byli w tym opętańczym kotle zagłady są przeważnie (o ile są) w obecnej biednej Polsce i walczą z życiem, by do jakiej takiej formy człowieczej powrócić. Niewielu boryka się na obczyźnie. Zaś prominenci, czyli haftlindzy (więźniowie), którzy mieli szanse uratowania życia dzięki walorom, zdolnościom osobistym, szczęściu, zdrowiu, odporności i innym zrządzeniom losu, ci do pióra nie siądą chyba nigdy. No, a ci, którzy uratowali się kosztem współbraci drogą bezpardonowego tupetu, podstępu i świństw, oby nie tylko nie maczali pióra w zakłamaniu, lecz wręcz niechaj się nas wyrzekną i nigdy o czerwonym winklu więźnia z Gross Rosen nie wspominają. Ich symbolem władzy był tam zielony winkiel zawodowego zbrodniarza i różowy winkiel homoseksualisty. Ich adorowali i im swój marny żywot mają do zawdzięczenia.

Nie będę się tu posługiwał utartemi prawidłami pisowni. Nie oprawiam słów w cudzysłowy i inne osłonki stylu, któremi już wielu osobiste na polską nutę nagrane stronice wypisało. Stojąc u zaimprowizowanego katafalku Ojczyzny, której naszą wspaniałą przeszłość i przyszłość zawdzięczamy, piszę szczerze i serdecznie.

Pamiętamy wysoką postać w binoklach w ostatniej trójce malowanego w czerwone pasy eska-senderkommando. W haniebnych drewniakach obite do krwi nogi, w rozpalonem od słońca kamieniołomie granitowym już odmawiały mu posłuszeństwa. Chociaż nie wolno się było z nim kontaktować, jednak przy apelu senderkommando przed szrajbsztubą, musiał komuś zawsze szepnąć słowo otuchy i nadziei... Pocieszał, że wytrzyma i o nic nie prosił — dziękował jeno.

Ratowali go Kazik Szostak i Jurek Luda. Uczciwi prominenci. Kazik oficer, góral, był budowniczym i potrzebny był nieukom esmańskim do rozbudowy obozu. Imponował przytem siłą fizyczną i piłką nożną. Jurek, to był taki sympatyczny pieron ze Śląska, o niesamowitej znajomości butnej i ordynarnej psychiki zbirów esmańskich. Wychował się w niemieckiem środowisku i wodził ich za nos jak chciał, ustawicznie się narażając. Jak piskorz wywijał się z niebezpiecznych sytuacji. Przy budowie baraków coś tam robił. W gruncie rzeczy nie robił nic — bujał bandytów w najdoskonalszej niemczyźnie. Może dlatego też żył, że od czasu do czasu otrzymywał przez morderczy wydział polityczny list od jakiegoś kuzyna, oficera niemieckiej marynarki. Wtedy mu w politycznym powiadali, że on całkiem widocznie jest Niemcem. Uśmiechał się tajemniczo, oni respektowali list korvettenkapitana i Jurek żył i dawał im w skórę na każdym kroku. Niejedna setka chleba i kostek margaryny szła przez niego do eska-senderkommando. Jurek prostował sobą skrzywioną linję moralną Ślązaków na terenie obozu.

Gross Rosen to nazwa pochodząca od miasteczka ze stacją kolejową na południowy-zachód od Wrocławia. Niewinnie wyglądało to miasteczko, gdy wchodziliśmy do niego kolumną pięciuset skazanych przez radomskie Gestapo. Dopiero za miasteczkiem góra najeżona bagnetami esmańsko-ukraińskich posterunków. Z niej po pierwszych wrażeniach wejścia otwierał się widok na przeciwległe pasmo wzgórz lesistych. Poprostu pięknie. Dopiero w kotlinie, pomiędzy temi cudami natury, leży to haniebne, elektrycznymi drutami opasane w kole strażniczych wież, GROSS ZGROZEN. U wejścia napis dość dużo haftlingowi mówiący: GRANITWERKE. Tak to wyglądało przed trzema, czterema laty, to wszystko było jeszcze w stadjum rozbudowy. Każdy próg, każda granitowa kostka chodnika, każdy blok i każde jego urządzenie, to tysiące straconych istnień ludzkich, z których od czterech lat unosiły się jeno krztuszące do mdłości dymy palonych zwłok przez złowrogi komin krematorjum. Do tego celu sprowadzili tu hitlerowcy około dwóch tysięcy zawodowych bandytów niemieckich z Sachsenhausen, słynnych zielonych kapos, którzy mieli ich wyręczać w przyjmowaniu i masowem zamęczaniu późniejszych, przeważnie polskich transportów z więzień gospodarstwa Francka. Kogo nie zabito zaraz lub nie dobijano powoli przy pracach prowadzonych tylko biegiem, tego starano się tak urobić, by o ile wyjdzie(?) kiedyś, był już najdoskonalszym rozsadnikiem zbrodni, i zła wśród swoich. Mieli do tego doskonale przygotowany aparat we wszystkich odcieniach występku i zwyrodnienia. Esman zabijał leniwie i nie często. Miał do tego celu zielone winkle, aso-winkle (asocjalny element). Miał różowe winkle. Zebrani z całych Niemiec najwytrawniejsi zbrodniarze, osadzeni tam już przed dziesięciu, dwunastu laty, dostarczeni zostali do budowania mordowni w Gross Rosen i rozbudowy granitowych kamieniołomów.

(Ciąg dalszy nastąpi)

MARJA MĘCIŃSKA

NASZE NIEMOWLĘTA NA WYGNANIU

W osiedlach dla polskich uchodźców nie mogących powrócić do Kraju — w Barletta i Trani (połudn. Włochy), gdzie w tej chwili przebywa ok. 7,000 osób — największą uwagę skierowano na problem dziecka i matki.

Na jednym z bloków mieszkalnych w Trani widnieje olbrzymiej wielkości Czerwony Krzyż a obok napis "Dom Matki". Powstał w parę tygodni po założeniu Osiedla (w sierpniu ub. r.) prowadzony przez P.C.K. a pozostający pod stałą, troskliwą opieką szefa sanitarnego obozów ktp. dr. Gr. — urządzony jest wzorowo i stanowi stałą troskę wszystkich czynników kierowniczych.

Oczywiście, że w Ameryce czy Afryce połudn. i wszędzie tam, gdzie panują normalne warunki życia, stworzenie takiego "Domu" nie przedstawiałoby większych trudności, byłoby rzeczą zupełnie naturalną, wymagałoby tylko pewnych funduszy. Lecz tutaj, w warunkach wysoce anormalnych gdzie funduszy brak zupełny — gdy się zważy że przed 6 miesiącami, stały tu puste domy-baraki, zdewastowane, bez szyb i kanalizacji, sale puste o obdrapanych ścianach i powyrywanych oknach i gdy się dziś ujrzy schludne przytulnie urządzone sale mieszkalne, zastawione szeregiem łóżek i najniezbędniejszych sprzętów — ocenić łatwo można ogrom dokonanej pracy, wysiłku i poświęcenia.

Wychodząc z założenia, że przyszłe matki mają tu znaleźć nie szpitalny przytułek, lecz czuć się u siebie w domu, stworzono tu istotnie — o ile to leżało w granicach możliwości — namiastkę domu rodzinnego. Przyszłe matki przychodzą tu na 6 tyg. przed rozwiązaniem i pozostają do 3 mies. (a czasem i dłużej) po urodzeniu dziecka. Przez cały ten czas znajdują się pod stałą, codzienną kontrolą lekarza i przyjacielską, serdeczną opieką sanitarjuszek P.C.K. Otrzymują specjalne dożywienie (2-gie śniadania i podwieczorki), kakao, słodycze, mleko, jarzyny, częściowo owoce a nawet dodatkowe porcje mięsa, wszystko z trudem zdobyte. Wiele niemowląt, których matki nie mają dostatecznego pokarmu są również dożywiane (mleko Nestla). P.C.K. posiada w swych magazynach specjalne racje na dożywianie.



Karmienie małego pacjenta

Sale mieszkalne matek obszerne, słoneczne; łóżka zasłane białą pościelą (bielizna pościelowa w Osiedlach należy do rzadkości) z dostateczną ilością koców; obok szafki nocne i krzesełka; na szafkach kwiaty, zrywane na bujnych kwietniskach otoczających bloki mieszkalne Osiedla; na ścianach, świeżo bielonych obok obrazów M. B. Ostrobramskiej i Częstochowskiej, godła Polski, ryciny zabytków polskich oraz wesołe, barwne wycinanki w charakterze łowickim (prace wytwórni artystycznej Osiedla w Trani); wszystko sprawia wrażenie miłe nie "obozu" lecz mieszkania prywatnego a raczej domu rodzinnego, którego "pacjentki" rekrutujące się niemalże wyłącznie z obozów niemieckich, pozbawione były przez lata całe. Osobna sala dla kobiet oczekujących rozwiązania, osobna zaś dla matek, już piastujących swe pociechy.

W sali dla niemowląt bieleją rzędy miniaturowych łóżeczek z siatkami, przykrytych błękitnemi kołderkami (wykonanemi w Szwalni P.C.K. w Trani). Łóżeczka, to częściowo dar Saperów (pierwsze dostawy) częściowo zaś produkcja warsztatów stolarskich P.C.K. w Trani.

Zdobycie łóżeczek przedstawiało początkowo dla organizatorów Osiedla największy problem. Lecz nasze polskie niemowlęta odznaczają się, jak się okazuje, niezwykłą inteligencją już od urodzenia. Wpadły na kapitalny pomysł: oto napisały list do generała saperów, który właśnie zwiedzał organizujące się Osiedla, z prośbą o przysłanie łóżeczek. P. Generał S. tak był wzruszony listem polskich noworodków, które załączyły przytem swoje podobizny, że w parę dni później, specjalnym transportem nocnym, przybyło pierwszych 20 łóżeczek, ku największej radości nietylko matek lecz i szefa sanitarnego dr. Gr. który kocha niemowlęta jak własne dzieci i otacza ich prawdziwie ojcowską opieką.

Potem były kłopoty z wyprawą dla niemowląt; były wprawdzie już łóżeczka, lecz puste; nie było ani pieluszek, ani prześcieradełek, ni ceratek ni poduszek; leżały nasze maleństwa, niczem się nie przejmując, na sianie. I znowu mądre niemowlęta wysłały kilka listów z własnemi fotografjami, tym razem do majora angielskiego (umieją już po angielsku!) który zwiedzał poprzednio Osiedla i do angielskiej "sister" z Czerw. Krzyża. I tym razem efekt listów był nadzwyczajny: kilkanaście prześcieradeł i kilkadziesiąt pieluszek. I tak powoli niemowlęta drogą korespondencyjną kompletowały swoje wyprawki; w taki sposób zdobyły sobie niezbędną do codziennego ważenia wagę i wanienki.

Gdy tylko zainstalowano na nowo kanalizację i wodociągi, pierwsza woda ciepła popłynęła do "Domu Matki" i dzisiaj zarówno niemowlęta jak i matki, korzystają z codziennej kąpieli. Młode matki przyzwyczajają się do hygjeny życia codziennego i same już dbają o to. Współżycie "pacjentek" między sobą oraz z sanitarjuszkami P.C.K. i lekarzami jest nietylko poprawne lecz przyjacielskie i serdeczne; wszyscy stanowią jak gdyby jedną rodzinę, w której każdy stara się pomóc drugiemu. Matki



Matki ze swemi pociechami

posiadające już starsze dzieci, mogą je zabrać tutaj ze sobą — o ile nie są w wieku szkolnym; pozostają one pod specjalną opieką wychowawczyń P.C.K. Po powrocie ze szpitala w miasteczku Trani matki nie posiadają się z radości, gdy mogą mieć obok siebie swe starsze pociechy.

Pobyt matek tutaj przez kilka tygodni przed rozwiązaniem ma duże znaczenie psychologiczne, przyzwyczajają się one i zżywają ze swem otoczeniem, ze sprzętami i powracając ze szpitala, czują się tu jak u siebie w domu, widzą znajome, przyjacielskie twarze sióstr, lekarzy, wychowawczyń, mają u boku swe starsze dzieci, nie odczuwają osamotnienia i braku domu rodzinnego, odnajdują tu — jak same mówią — "swój zaciszny kącik". Atmosfera tego "Domu" ma w sobie swoistą atrakcyjność; stąd też wiele matek z łezką w oku opuszcza niekiedy "Dom Matki", pragnęłyby tu pozostać jak najdłużej. Istotnie, może i w przedwojennych, normalnych warunkach nie byłyby one znalazły, w tym czasie dla nich krytycznym, lepszego schronienia ani opieki i nie mogłyby dać swym maleństwom lepszych warunków ich pierwszych dni życia.

Bo trzeba przyznać, że cały zespół opiekunów, tak siostry-sanitarki jak i lekarze zdobywają się na najwyższy wysiłek, nie szczędząc poświęcenia, by tylko dać "pacjentkom" iluzję domu rodzinnego.

Dzięki tej właśnie troskliwej, żmudnej pracy sióstr i lekarzy, stan zdrowotny dla niemowląt jak i matek jest doskonały. Rzadkie są wypadki zachorzeń; niemowlęta pucułowate, zaróżowione, roześmiane, pachnące czystością, czynią wrażenie dzieci z czasów normalnych; na matkach nie widać śladów dopiero co minionej twardej przeszłości obozowej.

Ogółem "Dom Matki" pomieścić może 100 kobiet; w chwili gdy zwiedzaliśmy "Dom" pozostawało tam 70 matek z niemowlętami i 20 kobiet, oczekujących rozwiązania. Rozpiętość wieku "pacjentek" jest dość szeroka: od 18 do lat 40; zdarzały się jednak i "pacjentki" nawet 16-letnie — lecz to wypadki rzadkie. Niemowlęta natychmiast po urodzeniu otrzymują plomby ołowiane na rączkach z numerem, który ma matka, dla uniknięcia zamiany noworodków, czego zazwyczaj tak bardzo obawiają się położnice w szpitalach. Tutaj jednak o wszystkiem pomyślano i wszystkiemu zaradzono, tak że nasze młode matki z całem zaufaniem oddają się pielęgnacji, czując serdeczność otoczenia.

Nasze maleństwa z "Domu Matki" w Trani, będą niewątpliwie stanowiły jeden z silnych trzonów naszego nowego pokolenia, które wróci kiedyś do wolnej i prawdziwie niepodległej Polski a matki — jak same mówią — będą wspominały z rozrzewnieniem pobyt swój tutaj, jako okres, może jeden z najlepszych w ich twardem życiu, jakie ich niezawodnie czeka.

Gdy się pomyśli, z jakim wprost nadludzkim wysiłkiem organizowano te Osiedla, z jakiem wytężeniem woli i trudu zdobywano każdy drobiazg w "Domu Matki" który powstał dosłownie z niczego — *z podziwem prawdziwym patrzeć należy na ten gigantyczny wyczyn o rozmachu i tempie amerykańskiem.* I ktoś śmiałby pomyśleć, że Polacy nie są zdolni do organizowania i do wytężającej pracy! Osiedla dla uchodźców w Barletta i Trani są najlepszem zaprzeczeniem tego.

Oczywiście dokonać tego można było, tylko dzięki niestrudzonej pomocy 2-go Korpusu i Jego Dowódcy gen. Andersa, który prawdziwie po ojcowsku roztacza opiekę nad uchodźcami a specjalnie nad dziećmi i niemowlętami. Nikt z uchodźców polskich na terenie Włoch nie jest i nie będzie głodny i bez dachu nad głową, dopóki jest tu obecny 2-gi Korpus i P.C.K. sekundujący dzielnie Korpusowi.

MARJAN CZUCHNOWSKI

O NOWIU

Jak posrebrzone pieniążki
Księżyc zapluskał w wodę znów.
Przez park — szeroki, długi rów
Błysnął, jak biała wstążka książki.

Przeczytaj ciemność. Oczy zwyż.
I patrz na miesiąc, jaki nagi.
Nie bój się śmierci i rozwagi!
Ostatnią swoją książkę pisz.

W Kensington Gardens
są gałązki
I trzeszczy szron.
Nie milcz już. Mów.
Cóż to za zapach —
rozkoszny i grzązki.
Cóż to za księżyc! Cóż za nów!

W SNACH

Głos miłej mi się przyśnił.
Brzęknął jak skarga komarowa.
Jak smak wiśniowych liści
Zapachniała jej głowa.

Ja tę głowę w dłonie brałem.
Czarne włosy całowałem.
Rozchylone, tkliwe usta
Za najsłodsze zawsze miałem.

Nigdy, nigdy nie zapomnę
Wdzięcznych piersi,
gdy spazmują,
Przecierając nieprzytomne
Oczy w snach, co życie trują.

ALEKSANDER JANTA

Dwa sekrety marynarki polskiej

Przypadkowi jedynie zawdzięczam w tej wojnie zetknięcie się z światem naszych morskich i podmorskich wojsk. Przypadek zrządził bowiem, że pierwszy mój kontakt z polską siłą zbrojną, po wydostaniu się z Europy Hitlera, miał miejsce w jednym z portów śródziemnomorskich i to odrazu z załogą łodzi podwodnej "Dzik". "Dzik" w owe czasy był jeszcze zaledwie "warchlakiem", który nie miał sposobności pokazania kłów, czyli, mówiąc językiem myśliwskim, szabli groźnego odyńca, jakim się potem okazał. Załoga złożona nie z żadnych wilków morskich, ale po prostu z odyńców także, przeważnie brodatych bardzo, jak na podwodników przystało, pod pokładem raczyła gościa gęstemi kolejkami "skocza" i skocznem, choć nie zawsze przyzwoitem opowiadaniem swoich przygód. Te przygody były zarówno morskie, jak i tyczące rozkładania morale pewnych uroczych dam "z najlepszego towarzystwa" w przeróżnych portach Szkocji i nie-Szkocji. Podbojowy i bojowy charakter załogi wróżył niechybnie i zapowiadał bez pudła te wszystkie wyczyny, jakie "Dzikowi" pospołu z "Sokołem" wkrótce już miały zdobyć miano "the terrible twins" wód śródziemnomorskich. Nie mówiąc o tem, że nomen omen, czyli "Dzik" nie mógł się obyć bez znacznej i cennej w jego służbie i jego przygodach, a pospolitej skądinąd i wcale swojskiej "świni".

Zejście do łodzi podwodnej to tak jak zejście w podziemia. Jest coś piwniczego w jej atmosferze laboratorjum, przyciska człowieka ten "niski pułap" i ciasnota wnętrza, w którym wygoda osobista załogi podporządkowana być musi zadaniu, z jakiem ten skupiony w sobie i zagęszczony od środka kadłub, zawierający trzydziestu ludzi, zejdzie pod wodę, by z pod niej działać zaskoczeniem i podstępem. Ten brak wygód idzie tak daleko, że nawet świeże powietrze uważane tu bywa za luksus.

Palić we wnętrzu łodzi nie wolno. Niejeden młody nerwowiec po paru godzinach pierwszego zanurzenia myśli jednak o papierosie. Wiedzą o tem starzy wyjadacze i dla kawału pytają: chciałbyś zapalić, co? No to sobie zapal, kapitan pozwala.

Długo będzie próbować. W ciężkiem, ubogiem w tlen powietrzu ledwo zapłonie zapałka, ledwo rozżarzy się czubek papierosa i zaraz gaśnie. Dym posiada smak gorzki, okropny— jedno takie zaciągnięcie się potrafi człowiekowi odebrać ochotę do papierosa na dłuższy czas.

Nocą, po wynurzeniu, przy dużej fali na mostku w wieżyczce zalewa, że strach. Wracają z niego po służbie do środka łodzi, przemoknięci do suchej nitki.

Opowiadają mi o tych szczegółach:

— Panie kapitanie — mówił jeden, zaraz po pierwszem skosztowaniu tej przyjemności — ja z prośbą o przeniesienie do lotnictwa. Mnie nikt nie mówił, że w łodzi podwodnej tak mokro. Ja pod wodą chciałem służyć, nie w wodzie.

— Pan logiki nie ma, takie rzeczy opowiadać cywilom lądowym — miesza się do rozmowy jeden ze słuchających.

Odwrócenie głowy niedbałe.—Czego nie mam, łobuzie? — Chętnie mówią tym stylem i naciągają się wzajem warszawską gwarą Wiecha, zawsze skorzy do płatania sobie figli.

W tej to, beztroskiej napozór i towarzyskiej atmosferze wymiany nie zawsze cenzuralnych poglądów, dowiedziałem się także o nieznanem dotąd wydarzeniu, jakie Marynarkę Polską przyprawiło o utratę łodzi podwodnej "Jastrząb". Było to w czasie patrolu, gdy przez pomyłkę zaatakował "Jastrzębia" kontrtorpedowiec norweski i brytyjski poławiacz min. Wszystko się niby czyni, aby zapobiec podobnym wypadkom, ale jednak zdarzają się. Pomyłka też bywa ceną, jaką wliczyć należy w rachunek wojennych zdarzeń i konieczności. Fakt jednak nie zmienia w niczem tragicznej sytuacji tego polskiego okrętu, który paść musiał ofiarą nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. I nawet sygnały dymne, które atakowany "Jastrząb" dawał z pod wody, nie powstrzymały dwóch zaciekłych przeciwników choć przyjaciół, od wyrzucania bomb głębinowych właśnie w miejscu, gdzie te sygnały dobywały się z powierzchni morza. Norweg i Anglik bowiem byli święcie przekonani, że mają przed sobą, albo raczej pod sobą, jedną z tych łodzi niemieckich, których działalność na Atlantyku w owe czasy dawała się okrętom aljanckim gorzko i dobitnie we znaki. I nawet wypłynięcie "Jastrzębia", już uszkodzonego, nie powstrzymało ognia. Do wybiegających z wieżyczki członków załogi pruły całemi serjami karabiny maszynowe z pokładów kontrtorpedowca i poławiacza, ogniem na krzyż. Przez walące się po schodkach ciała marynarzy torował sobie drogę kapitan. Niósł w ręku flagę, którą rozwiał szeroko wiatr. I dopiero widok tych kolorów sprawił, że ogień ustał, chociaż kapitan zdążył jeszcze oberwać po nogach pięciu ostatniemi kulami. Nastała ciężka straszliwa cisza. Jęczeli ranni. "Jastrząb" tonął. Flaga polska trzepotała się na wietrze, marynarze wybiegali na pokład. Z podchodzących powoli okrętów odbiły teraz łodzie ratunkowe. Akcja bojowa zamieniła się nagle w szybką, stroskaną pomoc dla ofiar straszliwej pomyłki. Zabierano rannych, wyciągano z wody marynarzy, skaczących w morze i ściągano zabitych z zakrwawionego pokładu, który już znowu znikał w chlupocie fal. Do polskiego dowódcy, gdy go wniesiono na poławiacz min razem z ośmiu zabitymi marynarzami, odezwał się kapitan trzema tylko słowami: "I am sorry".

Myślę dzisiaj o tem wydarzeniu, które jest jednym z tragicznych wypadków wojny i nie widzę powodu dla którego wiadomość o niem, nie miałaby być włączona do historji Polskiej Marynarki, jej losów, jej walk, jej klęsk i zwycięstw od czasów września. I przypomina mi się usłyszane w Niemczech zdanie tego robotnika deportowanego z Polski, co mieszkał razem z innymi w baraku, na który spadła ciężka bomba w czasie raidu brytyjskich samolotów. Nie zrobiła innej szkody, jak tę tylko, że zabiła kilku robotników polskich i raniła kilkunastu: "Że też my Polacy nie mamy szczęścia w tej wojnie". To było wszystko, jako podsumowanie przekleństw, czy może tylko szyderstwa losu przez dotkniętych tą najgłębszą krzywdą.

(Dokończenie nastąpi)

FELIKS GROSS

RAYMOND LESLIE BUELL



Raymond Leslie Buell wielki przyjaciel Polaków

Jest stare polskie przysłowie, którego w tej wojnie w każdym razie nie przetłumaczono na obce języki: "przyjaciół poznaje się w biedzie". Nie wiele też sprawa polska miała przyjaciół wśród obcych w okresie ciężkim, w okresie kryzysu. Przyznajmy się lepiej z równowagą do tej prawdy, bo nie jest ona bez znaczenia.

Wśród tych przyjaciół nie brakło nigdy Raymonda Buella. Wybitny uczony i pisarz polityczny, starał się zawsze w działalności swej bronić sprawy słusznej i moralnej. W czasie wojny hiszpańskiej gorąco walczył o pomoc dla republikanów hiszpańskich, zwalczał bierność demokracji zachodnich i koncepcję nieinterwencji. W czasie Monachjum walczył przeciw "appeasementowi" i ostrzegał przed konsekwencjami. W czasie tej wojny, domagał się Buell silnej organizacji międzynarodowej, opartej na zasadach sprawiedliwości i prawa. A w planach jego była wizja i odwaga. Domagał się wolności i niepodległości dla narodów zamieszkałych nad Pacyfikiem, w ramach systemu Narodów Zjednoczonych, na długo zanim wyspy sundajskie rozgorzały powstaniem. Proponował utworzenie regjonalnego systemu na Pacyfiku.

W swych planach europejskich był gorącym zwolennikiem europejskiej federacji. Bronił gorąco praw małych narodów do samostanowienia w ramach ustroju federalnego — a książka jego o Polsce "Poland, Key to Europe", która się doczekała wielu wydań, jest bodaj najlepszem dziełem o Polsce współczesnej.

Głos Buella miał w Stanach i w świecie niepoślednią wagę. Przez szereg lat był profesorem na czołowych uniwersytetach amerykańskich, potem prezydentem wpływowej "Foreign Policy Association", w końcu przeszedł do wielkiego koncernu Time, Life i Fortune, jako "braintrust" całego wydawnictwa w jednej osobie.

Wpływ jego był jednak daleko szerszy. Był on nietylko osobistym przyjacielem, ale też najbliższym doradcą w sprawach polityki zagranicznej byłego kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych Wendell Wilkiego, oraz doradcą szeregu wybitnych działaczy lewego skrzydła partji republikańskiej.

Przekonań swych Buell łatwo nie zmieniał, a przyjaciołom wierności dochowywał. Cnoty te zwykle idą w parze. Na kilka zaledwie tygodni przed śmiercią napisał artykuł o Polsce na zamówienie znanego miesięcznika "Atlantic"'. Skoro redakcja tego miesięcznika artykuł odrzuciła, wystąpił Buell z ostrym listem w nowojorskim "New Leaderze", stając ponownie w obronie sprawy polskiej (artykuł ten ukaże się w numerze marcowym "American Mercury"). Do listu tego dołączył się przyjaciel Buella, znakomity pisarz i publicysta, William Henry Chamberlin, który z redakcji "Atlantic" wystąpił.

Ostatniem przed śmiercią publicznem wystąpieniem Buella, było więc wystąpienie w sprawie Polski. List do "New Leader'a" pisał już na łożu śmierci. Raymond Leslie Buell zmarł dnia 20 lutego, po operacji w Montrealu.

LISTA ZMARŁYCH PISARZY POLSKICH

Lista ta była odczytana na wieczorze "In memoriam" poświęconym przez PEN-Club Polski w Londynie pisarzom, którzy zmarli w Kraju podczas drugiej wojny światowej. Tragiczny rejestr strat piśmiennictwa polskiego jest jeszcze daleki od zamknięcia mimo, że przekracza on bardzo znacznie pierwsze zestawienie, które ukazało się w "Stratach Kultury Polskiej", wydanych w Glasgowie pod redakcją Adama Ordęgi i Tymona Terleckiego i mimo iż wiele nazwisk, mniej ważnych, tam uwzględnionych, w tej liście pominięto. Lista niniejsza daleka jest nie tylko od pełni, ale także i od dokładnej ścisłości. Oparta na tajnych raportach Polskiej Administracji Podziemnej, na doniesieniach prasowych i wiadomościach prywatnych — została porównana z dostępną częścią "'Listy strat kultury polskiej, 1939 — 1945", którą dr. B. Olszewicz zaczął ogłaszać w krakowskim "Tygodniku Powszechnym" (nr. 18-19, 21-24 włącznie).

Hanna Franciszka ARNSZTAJNOWA — poetka, działaczka literacka, Zamordowana w Lublinie w 1942 r.

Krzysztof BACZYŃSKI — świetnie zapowiadający się poeta, znany pod pseudonimem wojennym Jan Bugaj. Zginął w Powstaniu Warszawskiem.

Stefan BALICKI — młody prozaik poznański. Zmarł w r. 1943 w nieznanych okolicznościach.

Henryk BALK — historyk literatury, poeta. Rozstrzelany przez Niemców w r. 1942; według innej wersji: otruł się cjankali, nie chcąc nałożyć opaski z gwiazdą Syjonu.

Jerzy BANDROWSKI — powieściopisarz. Zmarł w Radomiu w styczniu 1944 r.

Wilhelm BARBASZ — autor książki o Wyspiańskim, krytyk literacki. zamęczony w obozie złoczowskim.

Wacław BERENT — powieściopisarz, członek Polskiej Akademji Literatury. Zmarł w Warszawie w r. 1940, w nieznanych okolicznościach.

Józef BIRKENMAJER — poeta, krytyk, tłomacz. Zginął w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r.

Rafał BLUTH — historyk literatury i krytyk literacki. Rozstrzelany przez Niemców jesienią 1939 r. w Warszawie.

Jakób BOJKO — pisarz ludowy. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Edward BOYE — tłumacz Don Quijota i innych utworów literatury hiszpańskiej. Zmarł w Warszawie w 1943 r. w nieznanych okolicznościach.

Tadeusz BOY-ŻELEŃSKI — krytyk literacki i teatralny, tłumacz literatury francuskiej, essayista, członek Polskiej Akademji Literatury. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Dachau w 1941 r.

Emil BREITER — krytyk. Rozstrzelany przez Niemców w 1943 r.

Wincenty KORAB-BRZOZOWSKI — poeta. Zmarł w 1943 r. w nieznanych okolicznościach.

Anna CHOROWICZOWA — autorka pracy o "Konfederatach Barskich" Mickiewicza, recenzentka teatralna. Rozstrzelana przez Niemców w 1943 roku.

Ignacy CHRZANOWSKI — historyk literatury, krytyk. Zmarł w Oranienburgu, w styczniu 1940 r.

Leon CHWISTEK — teoretyk sztuki, filozof. Zmarł w Moskwie.

Nikodem CIESZYŃSKI — publicysta katolicki. Zmarł w obozie koncentracyjnym w 1942 r.

Stanisław CYWIŃSKI — historyk literatury i krytyk literacki zmarł na wygnaniu w Rosji.

Józef CZECHOWICZ — poeta. Zginął od odłamka bomby w Lublinie we wrześniu 1939 r.

Stanisław CZOSNOWSKI — literat. Zamordowany w czasie Powstania Warszawskiego w 1944 r.

Tytus CZYŻEWSKI — poeta i malarz. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Aleksander DAN — literat. Zamordowany w obozie pod Lwowem w 1943 r.

Jan DĄBROWSKI — krytyk. Zmarł w obozie koncentracyjnym w 1940 r.

Konstanty DOBRZYŃSKI — poeta. Zmarł w 1939 r. w nieznanych okolicznościach.

Tadeusz DOŁĘGA-MOSTOWICZ — powieściopisarz. Zginął w czasie działań wojennych we wrześniu 1939 roku.

Julja DICKSTEIN - WIELEZYŃSKA — tłomaczka z literatur romańskich, badaczka literatury, poetka. Zmarła pod przybranem nazwiskiem w Warszawie, w 1943 r., w przytułku na Powiślu, po odcierpieniu więzienia i ucieczce z ghetta.

Karol DRESDNER — historyk, poeta i tłumacz. Zamordowany przez Niemców we Lwowie w 1943 r.

Aureli DROGOSZEWSKI — historyk literatury i krytyk. Zmarł w Warszawie w 1942 r.(?)

Roman DYBOSKI — anglista. Zmarł w Krakowie w czerwcu 1945 r.

Stefan ESSMANOWSKI — hiszpanista, tłumacz, krytyk. Rozstrzelany przez Niemców w Warszawie jako zakładnik.

Wilhelm FALLEK — autor studjów o wpływie Biblji na literaturę polską, tłumacz. Zabity przez Niemców.

Alfred FEI — krytyk. Zabity w ghetcie warszawskiem.

Ignacy FIK — poeta i krytyk, autor pracy o języku Norwida. Rozstrzelany przez Niemców w 1942 r. w Oświęcimiu.

Józef FLACH — autor studjów o "Młodej Polsce", recenzent teatralny. Zmarł w Krakowie, w maju 1944 r.

Ludwik FRYDE — krytyk literacki. Rozstrzelany przez Niemców w 1942 r., w Nowogródczyźnie.

Tadeusz GAJCY — poeta, pisujący pod pseudonimem wojennym Karol Topornicki. Zginął w Powstaniu Warszawskiem 1944 r.

Aleksander GAŁUSZKA — poeta. Popełnił samobójstwo w 1939 r., pod wpływem wstrząsu, wywołanego bombardowaniem.

Wacław GĄSIOROWSKI — powieściopisarz. Zmarł pod Warszawą w 1939 czy 1940 r., w nieznanych okolicznościach.

Marja GERSON-DĄBROWSKA — pisarka dla dzieci. Zmarła w 1941 r. w nieznanych okolicznościach.

Zuzanna GINCZANKA — poetka. Zamordowana przez Niemców.

Marja GODLEWSKA — tłumaczka z literatury angielskiej. Zmarła w Krakowie w czerwcu 1945 r.

Stefan GODLEWSKI — poeta, nowelista i krytyk. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, w 1941 r. czy 1943 r.

Bolesław GORCZYŃSKI — dramaopisarz. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Halina GÓRSKA — powieściopisarka. Rozstrzelana przez Niemców w 1942 r.

Stefan GÓRSKI — essayista. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Mauthausen w 1940 r.

Emilja GROCHOLSKA — publicystka, krytyczka, redaktorka "Kobiety Współczesnej". Zmarła w Oświęcimiu na początku 1943 r.

Benedykt HERTZ — bajkopisarz. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Jan Adolf HERTZ — dramaturg. Rozstrzelany przez Niemców w 1942 roku.

Ferdynand HOESICK — autor książek biograficznych. Zmarł w Warszawie w 1941 r.

Tadeusz HOLLENDER — poeta. Zmarł w Warszawie na Pawiaku w 1943 r.

Dawid HOPENSZTAND — krytyk. Rozstrzelany przez Niemców w 1942 r. w ghetcie warszawskiem.

Jerzy HULEWICZ — powieściopisarz, poeta, krytyk, wydawca "Zdroju". Zmarł w 1941 r. na wieść o śmierci brata.

Witold HULEWICZ — poeta, autor powieści o Beethovenie, tłumacz Rilkego i Kleista. Rozstrzelany przez Niemców w 1941 r., za pracę konspiracyjną.

Karol HUSARSKI — krytyk teatralny. Zmarł w 1942 r. w nieznanych okolicznościach.

Karol IRZYKOWSKI — krytyk literacki, członek Polskiej Akademji Literatury. Zmarł w 1944, 1945 r.(?) w szpitalu pod Warszawą, wskutek ran, odniesionych w czasie Powstania Warszawskiego.

Włodzimierz JAMPOLSKI — publicysta, krytyk, autor książki o Żeromskim. Zginął w 1943 r. we Lwowie.

Czesław JANKOWSKI — essayista. Zmarł w 1943 r. w nieznanych okolicznościach.

Juljusz KADEN - BANDROWSKI — powieściopisarz, członek Polskiej Akademji Literatury. Zginął w 1944 r. w czasie Powstania Warszawskiego.

Ludwik KAMYKOWSKI — historyk literatury. Zmarł w Krakowie w 1944 r., po chorobie nabytej w obozie Sachsenhausen.

Światopełk KARPIŃSKI — poeta. Zmarł w 1940 r. w Wilnie.

Antoni KASPROWICZ — poeta-robotnik. Rozstrzelany przez Niemców w 1939 r.

Stefan KIEDRZYŃSKI — komedjo- i powieściopisarz. Zmarł w Warszawie, w 1943 r., w nieznanych okolicznościach.

Zygmunt KISIELEWSKI — powieściopisarz i nowelista. Zmarł w 1942 r. w Warszawie w nieznanych okolicznościach.

Kazimierz KOLBUSZEWSKI — historyk literatury. Zmarł w Majdanku w 1943 r.

Stefan KOŁACZKOWSKI — historyk literatury i krytyk literacki. Zmarł w Krakowie, w 1940 r., po powrocie z obozu koncentracyjnego w Oranienburgu.

Karol Ludwik KONIŃSKI — krytyk, essayista, autor antologji "Pisarzy Ludowych". Zmarł w 1943 r. w nieznanych okolicznościach.

Janusz KORCZAK (Henryk Goldschmidt) — pisarz dla dzieci, pedagog, zamordowany przez Niemców w 1942 r. w związku z likwidacją ghetta w Warszawie.

Józef KRETZ-MIRSKI — poeta, autor studjów o Wyspiańskim, pedagog. Zginął w 1943 r.

Felicja KRUSZEWSKA — poetka. Zmarła w Radomiu wskutek wstrząsu wywołanego łapanką.

Juljan KRZEWIŃSKI — powieścio- i komedjopisarz. Zmarł w 1941 r. w nieznanych okolicznościach.

Antoni KUCHARCZYK (Jantek z Bugaja) — poeta ludowy. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Kazimierz LECZYCKI — powieściopisarz i autor dramatyczny. Zmarł na wygnaniu w Rosji.

Jan LORENTOWICZ — krytyk literacki i teatralny, członek Polskiej Akademji Literatury. Zmarły w Warszawie w r. 1939.

Henryka ŁAZOWERTÓWNA — poetka. Rozstrzelana przez Niemców w r. 1942. Dokończenie nastąpi.

Zestawił TYMON TERLECKI

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Zaledwie upłynęło kilkanaście dni od momentu zakończenia londyńskiej sesji UNO, a już właściwie świat zapomina o istnieniu tej całej instytucji. Jeśli się ją teraz jeszcze wspomina, jeśli o niej jeszcze się mówi, to tylko krytycznie, to tylko z nieufnością, na jaką zasługuje. I, chociaż oficjalni przedstawiciele różnych krajów, w tem i p. Stettinius, utartym zwyczajem, powróciwszy do swych domowych pieleszy, wypowiadają się pozytywnie o przebiegu sesji londyńskiej i pragną ujawnione rozbicie przedstawiać, jako dowód siły UNO, szerokie koła opinji publicznej odnoszą się do tych oficjalnych eksplikacyj niedowierzająco, traktując wszystkie te optymistyczne wypowiedzi, jako przejawy suchej, werbalnej, dyplomatycznej rutyny.

Dla wyrobionej opinji publicznej krajów cywilizowanych miarodajne są bowiem nie rezultaty kłótni londyńskich, nie na lichych kompromisach oparte formuły mętne, nic nie klarujące, ale to wszystko co się dzieje na szerokim świecie. Co są warte uchwały, podejmowane nawet przez najmożniejszych dzisiaj tego świata, dowodzi najlepiej bieg wypadków w Chinach. Pomimo zawarcia, pod naciskiem Stanów Zjednoczonych, chińsko-sowieckiego traktatu przyjaźni, na mocy którego Chiny wprawdzie de facto zrezygnowały z Mongolji zewnętrznej, starając się uratować dla siebie Mongolję wewnętrzną, a głównie Mandżurję, Rosja sowiecka z Mandżurji nie ustępuje, pomimo formalnego zobowiązania i dokładnego terminu, nie ewakuuje Mandżurji, jeno trzymając, w tej gospodarczo i politycznie niezwykle dla Chin ważnej prowincji, swoje garnizony i krępując silnie ruchy wojsk chińskich, naciska na rząd centralny chiński, domagając się koncesyj gospodarczych niezwykle dużych. O ileby rząd centralny chiński przyjął warunki moskiewskie, Mandżurja de facto dostałaby się w ręce sowieckie, tem więcej, że utrzymywani przez Moskwę komuniści chińscy domagają się autonomicznych rządów w Mandżurji (i Mongolji wewnętrznej), dążąc tą drogą do opanowania politycznej i gospodarczej administracji tej wielkiej i cennej prowincji Chin.

Podobnie rozwija się sytuacja na Korei, gdzie Moskwa trzyma mocno w swych rękach północną część tego półwyspu, Amerykanie zaś administrują południową częścią, nie mogąc się porozumieć ze Związkiem Sowieckim co do utworzenia jednej dla całej Korei administracji koreańskej.

Na gruncie konfliktów chińskich i koreańskich ujawnia się silne zaostrzenie stosunków amerykańsko-sowieckich. Chiny i Korea — są dzisiaj głównem jabłkiem niezgody pomiędzy Washingtonem a Moskwą. — Konflikt chiński i koreański nie daje się zalepić plasterkiem jakiejś słownej tylko ugody, w grę bowiem wchodzą ważne interesy gospodarcze i polityczne amerykańskie, zagrożone dzisiaj przez imperjalizm sowiecki, realizujący politykę carskiego ekspansjonizmu, z czasów Mikołaja II.

Moskwa kontynuuje nadal rozpoczętą w Londynie akcję rozbijania Imperjum Brytyjskiego, stosując teraz miast ostrych przemówień Wyszyńskiego, inne metody, bardziej niebezpieczne i w przekonaniu wielmożów kremlińskich bardziej skuteczne. Zaburzenia w Indjach, w Egipcie, na Malajach, poniekąd w Palestynie, to nietylko przejawy nacjonalistycznych ruchów tamtejszych, które rząd brytyjski stara się uspokoić, złagodzić, rozwiązywać środkami politycznymi i militarnymi. Zaognienie się tych zaburzeń, jak to zresztą stwierdził w londyńskiej Izbie Gmin premjer Attlee, jest robotą komunistyczną, jest dziełem pro-sowieckich elementów; zsynchronizowanie tych zaburzeń daje podstawę do przypuszczeń, że działa tu jedna ręka, ręka silna, mianowicie ręka Kominternu, który, mimo twierdzeń sowieckich, że jest rozwiązany, istnieje i działa nadal, stanowiąc niezwykle ważny instrument polityki zewnętrznej Związku Sowieckiego.

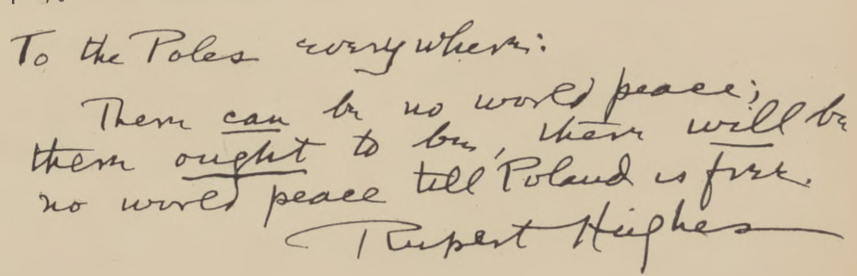
Wykrycie sieci sowieckiego szpiegostwa w Kanadzie — jest to jedyna, ze strony sowieckiej, forma szczerej współpracy aljanckiej — wywołuje niezwykle ostre ataki prasowe moskiewskie na premjera kanadyjskiego Mackenzie Kinga bezpośrednio, pośrednio zaś na Bevina; Moskwa stosuje tutaj znany środek złoczyńców, krzycząc teraz jak najgłośniej: "łapaj złodzieja!"

W Europie również konflikty pomiędzy mocarstwami anglo-saskiemi a Rosją Sowiecką, mnożą się i zaostrzają. Wszędzie: w Niemczech, w Austrji, na Węgrzech, nie mówiąc już o krajach satelitach, okupowanych wyłącznie przez armje sowieckie, Moskwa czyni, co chce, nie zwracając uwagi na żadne umowy, żadne układy, wyciągając jednostronnie z tych układów tylko to, co dla Moskwy wygodne, komentując te układy wyłącznie w sposób dla Moskwy korzystny. Postępowanie Rosji Sowieckiej w Persji, dalsza okupacja północnych połaci tego kraju, pomimo, niewątpliwie wyraźnego brzmienia w tej sprawie deklaracji teherańskiej 3 mocarstw, jest najlepszym tego dowodem.

Nic więc dziwnego, że w krajach anglo-saskich poczynają się mnożyć poważne głosy, twierdzące iż układy zawarte w Moskwie, Jałcie i Poczdamie, łamane przez rząd sowiecki, tem samem nie obowiązują więcej.

Układy te zawarte zostały na gruncie niepojmowania ducha i istoty bolszewizmu, nie zdawania sobie sprawy z metod i moralności rządu i dyplomacji sowieckiej. Odczuwa to dzisiaj, na własnej skórze, Wielka Brytanja. Jutro odczują inni partnerzy umów jałtańskich i moskiewskich, umów bębących zaprzeczeniem sprawiedliwości i moralności międzynarodowej.

Znakomity pisarz i wielki przyjaciel Polaków, Rupert Hughes, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze, nadesłał nam następujące oświadczenie:


To the Poles everywhere:
There can be no world peace; there ought to be, there will be no world peace till Poland is free.
Rupert Hughes

To the Pole everywhere:
There CAN be no world peace; there OUGHT to be, there WILL be no world peace till Poland is free.

Rupert Hughes

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

ZEBRANIE THE WORLD BILL OF RIGHTS ASSOCIATION

W niedzielę 3 b. m. odbył się w Manhattan Center wielki meeting, zorganizowany przez The World Bill of Rights Association, na której czele stoi kongresman A. Okoński i której sekretarzem wykonawczym jest ks. A. A. Skonieczny. Meeting, który był niewątpliwie wybitnem zdarzeniem politycznem, zgromadził kilka tysięcy słuchaczów, miał wspaniały przebieg, mowy nadawane były przez radjo a prasa amerykańska poświęciła mu szerokie omówienie.

Głównym mówcą był senator K. S. Wherry, który przemawiał na temat odrodzenia moralnego Ameryki. W świetnem wystąpieniu zaatakował on chwiejną politykę zagraniczną Stanów i jej tendencje kapitulacyjne wobec Rosji, wskazał na niszczycielskie skutki tej kapitulacji w Europie i domagał się powrotu do naczelnych idei wolności, które były sztandarem minionej wojny. Podobny ton miały przemówienia E. J. McCaffrey'a, przywódcy katolickich weteranów wojennych, L. Waldmana, przedstawiciela socjalistów i innych mówców reprezentujących kraje swego pochodzenia: Polskę, Chiny, Grecję, Estonję, Finlandję, Łotwę, Koreę, Serbję i Słowację.

W imieniu Amerykanów pochodzenia polskiego przemawiał p. Józef Czechlewski, b. asystent okręgowego prokuratora w N. Jorku, reprezentujący Komitet Koordynacyjny Organizacji Polsko-Amerykańskich.

P. Czechlewski w swem przemówieniu przypomniał, że gdy przed rokiem, dnia 12 lutego, delegacja Komitetu Koordynacyjnego udała się do Waszyngtonu, aby złożyć wieńce u stóp pomnika Kościuszki i Lincolna, Polonia została uderzona jak obuchem wiadomością o układzie w Jałcie. Tego samego dnia, Komitet Koordynacyjny złożył prasie i Kongresowi w Waszyngtonie oświadczenie, w którem określił Jałtę jako wyrok skazujący cały naród na śmierć.

Przemówienie swe zakończył p. Czechlewski stwierdzeniem, że tak jak przed rokiem, tak i teraz Polonja powtarza swe ślubowanie, iż nie spocznie w walce, aż umowy w Jałcie, Teheranie, Moskwie i Poczdamie nie będą unieważnione.

Świetne i jak zwykle pełne swady przemówienie wygłosił kongresman Okoński, który m. i. wyraził się dowcipnie:

"Nobody in Washington seems to know what our foreign policy is, if any, and where are we going, if we are going anywhere."

Zebranie, które pozostanie na długo w pamięci uczestników, zakończyło się uchwaleniem rezolucji domagającej się rewizji umów w Teheranie, Jałcie i Poczdamie, przywrócenia niepodległości narodów wydanych na łup Rosji, powrotu do idei Karty Atlantyckiej i wprowadzenia w życie polityczne zasad Bill of Rights.

Meeting był doskonale zorganizowany i spełnił w zupełności swoje zadanie.

MANIFESTACJA KOŚCIUSZKOWSKA W BOSTONIE

Manifestacja ku czci Kościuszki pozostanie na długie lata w pamięci Polaków i przyjaciół Polski, którzy po brzegi wypełnili Katedrę św. Krzyża w Bostonie. W manifestacji wzięło udział 3,500 ludzi.

J. E. Arcybiskup Richard J. Cushing odprawił modły za Polskę i wygłosił nadane przez radjo przemówienie, w którem porównał walkę Kościuszki o wolność i położenie Narodu w tych czasach do obecnej sytuacji — dając wyraz głębokiej wierze w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości, w odzyskanie przez Naród Polski kompletnej wolności.

Polskie duchowieństwo z Bostonu i okolicy asystowało w podniosłem nabożeństwie. Ks. Władysław Sikora przemówił na wstępie w obu językach i wyraził wdzięczność Polaków dla arcybiskupa za gorliwą obronę praw Narodu Polskiego.

"In his last will and testament, Kościuszko asks his friend Thomas Jefferson, to dispose of his earthly possessions, which by the way consisted of a grant of land given by our own grateful nation in recognition of his outstanding services. The proceeds of the sale of this land were to be used to purchase the freedom of the slaves.

With profound gratitude to God, for having given us so exalted a hero, a hero, who belongs not to Poland, not to America, but to the oppressed peoples of the world. We plead the cause of Poland.

Our national honor places upon us a clear duty to see that Poland, the land of Kościuszko, and during this last war, a most faithful ally, be treated as a friend, and an ally.

On this Kościuszko, Bi-Centennial day, we pay tribute to the achievements of his genius.

We, honor today, the defenders of Warsaw, Narvik, Tobruk, and of the Monte Cassino. We honor the memory of thousands, hundred of thousands of Americans who fought for our ideals, these ideals which are being denied to Poland, to Poland, called the "Inspiration of the world". We, plead the cause of heroic Poland, of democratic and tolerant Poland, of Christian Poland, we, plead the cause of Catholic Poland".

Ks. H. Zawalich odmówił różaniec — zaś księża Piotr Hajna, Edward Naguszewski, Metody Szymański, Franciszek Dąbrowski, Jan Missa, Czester Stempkowski i Franciszek Mieszkiewicz — pełnili asystę w ceremonjach. Chór parafji św. Stanisława z Chelsea wykonał pieśni polskie, a przy końcu nabożeństwa wzniósł się z piersi tysięcy zebranych staropolski hymn "Boże coś Polskę".

W uroczystości wziął udział gubernator Maurice Tobin w otoczeniu świty cywilnej i wojskowej.

OBCHÓD KOŚCIUSZKI W WASHINGTONIE

Polonja z Washingtonu, Baltimore i okolicy uczciła świetnie pamięć Tadeusza Kościuszki w dwóchsetną rocznicę urodzin bohatera dwóch światów.

Uroczystość zagaił i przewodniczył p. Edward Sokołowski, prezes Polskiego Klubu w Washingtonie. Prócz niego, przemówienia o życiu i zasługach Tadeusza Kościuszki wygłosili kongresmani Daniel J. Flood i Alvin O'Koński, który powiedział m in.:

"Zachodzi tylko ta różnica, że w czasach Kościuszki Polska została pokrajana przez jej nieprzyjaciół, a w naszych czasach nowoczesnych, Polska została pokrajana w Jałcie przez jej przyjaciół, i to jest najboleśniejsze dla narodu polskiego."

OKRĘG WSCHODNI SYNDYKATU DZIENNIKARZY

Okręg Wschodni Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Ameryce odbył zebranie, na którem dokonano wyboru nowego zarządu na rok bieżący. Przewodniczącym wyborów był red. Śliski. Do zarządu weszli: — Ignacy Morawski z New Yorku, prezes; Ludwik Bieńkowski z Utica, N. Y., wiceprezes; Marja Wilczyńska, Baltimore, Md., wiceprezeska; Leopold Krzyżak, New York, sekretarz; Łucjan Frenkiel, New York, skarbnik, Komisja Rewizyjna — Józef Głowacki, Józef Matyka, Kazimierz Dąbski. Komisja Weryfikacyjna i Sąd Koleżeński — Józef Głowacki, Ludwik Bieńkowski i Leopold Krzyżak. Komisja Imprez — Władysław Borzęcki, Tadeusz Sztybel, Antoni Maliszewski i Adolf Patlewicz.

"ŚWIT, DZIEŃ I NOC"

Jak już donieśliśmy w poprzednim numerze, komedja Nicodemiego "Świt, dzień i noc", wystawiona staraniem pani Rosalakowej, zyskała sobie bardzo życzliwe przyjęcie u publiczności, która szczelnie wypełniła piękną salę teatru Barbizon Plaza.

Była to idealna okazja do miłego spędzenia wieczoru. Lekki utwór nie zafrasował nikogo żadnym problematem, miał natomiast miejsca nie bez uroku poetyckiego i sporo humoru, a przedewszystkiem pozwolił Smosarskiej rozwinąć cały jej kunszt aktorski i przypomniał nam przez to dobre czasy dobrego teatru w Warszawie.

Pani Smosarskiej zawdzięcza też wieczór swój sukces. Wyglądała ona prześlicznie i oczarowała nas wszystkimi możliwymi urokami. Była ciepła i dowcipna, zabawna w gniewie i bez fałszu w wszystkich wesołych i smutnych perypetjach swojej dwunastogodzinnej miłości. Sekundował jej ze szlachetnem staraniem p. Rozmarynowski.

Sztuka toczyła się wartko i bez uchybień. Końcowy taniec wydawał się niepotrzebny i w przyszłości zniknie zapewne z finału. Sztuka ma zapewnione powodzenie wszędzie gdzie się pokaże jej afisz.

ODCZYT W INSTYTUCIE NAUKOWYM

We środę dn. 13 marca, o godz. 8ej wieczorem w lokalu Polskiego Instytutu Naukowego, 39 East 35th St., będzie miał odczyt ks. prof. Robert H. Lord, autor "The Second Partition of Poland", na temat "Some Reminiscence of the Peace Conference at Paris — 1919".

OPINJE I ZDARZENIA

KOTY ZA PŁOTY

"Ambasador" Bieruta w Rzymie, Stanisław Kot, żalił się ostatnio, że robi co może, by zniszczyć armję Andersa, ale że dowództwo aljanckie nie chce z nim w tej sprawie rozmawiać. Bardzo słusznie i bardzo cieszymy się, że szczerość pana Kota ujawniła tę pocieszającą wiadomość.

Pan Kot bowiem, niegdyś uczony pierwszej klasy, a później największy szkodnik polityczny, zły duch wszystkich, którzy go słuchali, odgrywa teraz rolę, z punktu widzenia polskiego, szczególnie wstrętną i godną pogardy. Zajmuje się mianowicie podważaniem i denuncjowaniem tego, co zostało najpiękniejsze i najcenniejsze z polskiej niepodległości — wojska polskiego, okrytego chwałą i otoczonego szacunkiem wszystkich towarzyszy broni.

Nic dziwnego, że dowódcy aljanccy nie chcą rozmawiać z jegomościem, który wziął na siebie tę rolę.

SŁOWNICZEK POLITYCZNY

Oddział Propagandy Głównego Zarządu Polityczno - Wychowawczego Wojska Polskiego: tak monstrualnie nazywa się centrala "władz" bolszewizujących żołnierzy polskich, pobieranych przymusowo do wojska kierowanego w Polsce przez Rosjan — wydała w Warszawie nielada arcydzieło, mianowicie "Słowniczek polityczny dla żołnierzy".

Jak się wychowuje tego żołnierza najlepiej objaśnia nas w tym słowniku już pierwsza litera A:

"Armja Krajowa (AK) — podziemna organizacja zbrojna, działająca w kraju w okresie okupacji. Dowództwo AK, podporządkowane t. zw. "rządowi" londyńskiemu, starało się hamować walkę z Niemcami, głosząc hasło "stania z bronią u nogi" itd.

Armja Ludowa (AL) — demokratyczna organizacja zbrojna, założona przez Krajową Radę Narodową w styczniu 1944. Trzonem AL była Gwardja Ludowa, pierwsza organizacja, która rozpoczęła walkę zbrojną z okupantem."

Oto próbka. Pięć lat walki Polski podziemnej z Niemcami nie znaczy nic. Walkę tę rozpoczęli dopiero... polscy bolszewicy.

TAJEMNICE SOWIETÓW

W łódzkim tygodniku społeczno-literackim "Kuźnica" z dnia 28 stycznia b. r. ukazał się feljetonik członka PPR'u, poety Adama Ważyka, p. t. "Troska o człowieka". Ważyk zajął się losem niegdyś komunistycznego pisarza, Aleksandra Wata, który po różnych perypetjach przebywa nadal w Alma—Ata w sowieckim Tadżykistanie i, jak dotąd, nie został repatrjowany do Polski.

Przedstawmy wypadek Wata nieco dokładnicj, ponieważ Ważyk pominął wiele rzeczy milczeniem.

Aleksander Wat w r. 1939 w jesieni razem w Broniewskim, Polewską, Haliną Górską, Boyem-Żeleńskim, Skuzą, Sternem, Szemplińską zgłosił akces do ścisłej współpracy z okupacyjnemi władzami sowieckiemi we Lwowie. Sielanka "współpracy" sowiecko-literackiej skończyła się w styczniu 1940 r., kiedy to władze sowieckie aresztowały: Peipera, Broniewskiego, Wata i Skuzę. Postawiono ich przed sąd i osądzono. Potem niektórzy z nich byli w więzieniach, innych zesłano do obozów koncentracyjnych. Po tak zwanej "amnestji" Wat odzyskał wolność. Osiedlono go w Alma-Ata gdzie, jak widać, dotąd przebywa.

Trudno jest, oczywiście, dzisiaj zrozumieć, dlaczego, po tylu deklaracjach Bieruta o rzekomo wspaniałej repatrjacji z "przyjaznego" Związku Radzieckiego, deklarujący powrót literat nie może powrócić. Cóż wobec tego mówić o chłopach, robotnikach i innych, o których nikt w "Kuźnicy" ani nigdzieindziej się nie upomni! Ta troska jest troską naprawdę o wiele spóźnioną...

Nie byłoby słuszne upominać się tylko o Wata. W Związku Sowieckim byli, lub może jeszcze są i inni polscy pisarze. Wymienimy tylko Brunona Jasieńskiego, Andrzeja Wolicę, Witolda Wandurskiego, Stanisława Ryszarda Standego, Jana Hempla, eseistę i wybitnego krytyka. Gdzie są ci pisarze, co się z nimi dzieje, lub co się z nimi stało?...

DZIELNA POLKA

Pani Halina Bormanowa-Gaszyńska, popularna w warszawskich sferach towarzyskich Hapelka, jest obecnie dyrektorką uniwersytetu UNRRA w Monachjum, który sama zorganizowała dla D. P. Uniwersytet ma dwa tysiące słuchaczów i trzydziestu pięciu profesorów rozmaitych narodowości.

ZOFJA KOSSAK WE WŁOSZECH

Pani Zofja Kossak, która niedawno przybyła, jak o tem pisaliśmy, z Polski do Londynu, wyjechała obecnie do Włoch i przebywa w 2-gim Korpusie. W szeregach Korpusu pełni służbę wojskową mąż i syn znakomitej pisarki.

ANTOLOGJA POLSKA

W Londynie ukazać się ma antologja pisarzy polskich w tłumaczeniu angielskiem. Antologję opracowuje Mieczysław Grydzewski.

NOWY FILM POLSKI

"Beyond Endurance" — (Ponad siły) oto tytuł pełno-metrażowego filmu o Polsce Walczącej, który ukaże się w tym miesiącu na ekranach amerykańskich.

Nadzwyczaj ciekawe zdjęcia z kampanji włoskiej, z Watykanu, z inwazji Północnej Francji i z obozów dla wysiedleńców polskich w Niemczech, wykonał specjalnie wysłany do wojsk polskich operator filmowy, p. A. A. Kelvoord.

Komentarze do obrazu napisał znany powieściopisarz i poeta Józef Wittlin. Ilustrację muzyczną opracował Władysław Eiger. Film zmontował Wincenty Bojtman, długoletni kierownik PIC Films, Inc. Współproducentem jest były dziennikarz p. Zygmunt Prumbs.

WIELKI SUKCES MARYLI JONAS

W dn. 25 lutego pianistka polska, Maryla Jonas, odniosła niebywały sukces i choć to był pierwszy jej recital w Stanach Zjednoczonych, zyskała najwyższe pochwały krytyki nowojorskiej.

Jerome D. Bohm z New York Herald Tribune pisze: "Zupełnie nie reklamowana, największa pianistka po Teresie Carreno, zadebiutowała wczoraj w Ameryce Północnej... Mamy nadzieję, że gdy p. Jonas powtórnie wystąpi, będzie powitana nie przez garstkę słuchaczy, jak to miało miejsce, ale że sala będzie kompletnie wyprzedana jak na to jej sztuka zasługuje..."

The New York Times również nie szczędzi naszej artystce pochwał: — "Południowa Ameryka przysłała nam paru znakomitych muzyków m. in. pianistkę Marylę Jonas, która wczoraj debiutowała w Stanach grając w Carnegie Hall. Dziwne tylko, że to wydarzenie było tak bardzo opóźnione, gdyż p. Jonas, która obecnie mieszka w Buenos Aires, ale która jest urodzona w Warszawie, koncertowała już w Europie, Południowej Ameryce i Meksyku".

Wobec wielkiego powodzenia, następny recital Maryli Jonas odbędzie się w sobotę dn. 30 bm. o 3ej po południu, tak, że wszyscy, którzy nie mogli przybyć na pierwszy występ p. Jonas będą mieli okazję do usłyszenia jej wspaniałej gry.

Kto zechciałby udzielić pomocy przez wystawienie "AFFIDAVIT of SUPPORT" dla dwóch uczciwych, godnych zaufania ludzi. Adres: W. Olszewski i E. Slęczkowski, Polish Naval Barracks, Devonport, Devon, England.

POSZUKIWANIA

DANKOWSKI Jan sierż. Polish Forces, M. E. 235 poszukuje wuja Franciszka Gachewicza zam. w Chicago.

WOŁEJKO Jan strz. Polish Forces, C.M.F. 234 poszukuje siostry swojej Anny Januszajtis, zam. w Maspeth, New York.

ZAGÓRSKI Jan, ułan, Polish Forces, C.M.F. 156 poszukuje matki swej Renaty Zagórskiej oraz krewnych w Stanach Zjednoczonych.

REC Stanisław kpr. Polish Forces, C.M.F. 419, poszukuje wuja Stanisława Opalińskiego z woj. Lwowskiego i stryja Jana Rec w Chicago.

DANBROWSKI Franciszek kan. Polish Forces, OFP 679, poszukuje swych krewnych Stanisława i Stefana Danbrowskich oraz syna Franciszka Danbrowskiego i Marji z domu Lewandowskiej, zam. w Buffalo. Wszyscy wyżej wymienieni pochodzą ze wsi Wysokie pow. Konin.

ZIETOWSKA Wera, 2nd Lt., 2nd Medical General Dispensary, APO, 757 Postmaster New York, N. Y. poszukuje swej cioci p. Eleonory z Chmielewskich Miskiewicz, zamieszkałej w New Yorku.

W POPRZEDNIM NR. 9 (166) "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Aleksander Bregman: Bitwa, którą Rosjanie przegrali — bitwa o uchodźców; Juljan Wołoszynowski: Przeznaczenie; Jan Wolny: Czy można było uniknąć katastrofy; Marjan Piechal: Modlitwa o wiarę; Romuald Gantkowski: Rupert Hughes; Tadeusz Mitana: Godzina poezji Jana Lechonia; Przemówienie prof. Oskara Haleckiego; Przemówienie Jana Kucharzewskiego; Kronika polsko amerykańska; Opinje i zdarzenia.